

Marian Ursel

"Dwaj wieszczowie : Mickiewicz i Wernyhora", Bogdan Zakrzewski, Warszawa 1996 : [recenzja]

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 89/1, 144-153

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Z kolei w rozdziale poświęconym podróżniczym epizodom dramatów Norwida, którego twórczość zdecydowanie włączana tu jest w horyzonty poezji romantycznej, brawurowo przeprowadzono wywód o związku chrześcijańskiego personalizmu poety z romantycznym mitem greckim, widzianym poprzez tradycję Byronowskiego wędrowca. Omówiony został również ten wątek historiozofii Norwida, który wyznacza swoistą ciągłość najcenniejszych elementów tradycji greckiej i chrześcijaństwa.

Druga część książki Marii Kalinowskiej, zatytułowana *Romantyczny mit Grecji. Syntezy*, stanowi uogólniający zarys kontekstu, w którym należałoby umieścić wyniki analiz. Tym razem autorka opiera się na stosunkowo szerokim *spectrum* tekstów literackich współtworzących mit Grecji. I tutaj ważkim kryterium klasyfikacji jest przeciwstawienie Grecji „jasnej”, „apolińskiej”, i „ciemnej”, „dionizyjskiej”. Założeniem książki nie jest, oczywiście, wyczerpanie rejestru znaczących manifestacji europejskiego hellenizmu wieku XVIII i pierwszej połowy XIX. Stąd szczegółowe propozycje znaczących uzupełnień miałyby się na ogół z celem. Warto wszakże zaznaczyć, iż wątek dionizyjski potraktowany został o tyle zbyt pobieżnie, że zabrakło w nim moralistycznego antymitu, demonizmu Grecji pogańskiej, potępianego jako amoralny hedonizm i estetyzm, drapieżnie niszczący człowieka ery chrześcijańskiej. Nie jest to nurt szczególnie reprezentatywny, pozostaje w wyraźnej sprzeczności z romantycznym kultem tradycji greckiej, niemniej należałoby o nim wspomnieć dla utrzymania właściwych proporcji obrazu. W Polsce reprezentuje tę tendencję właśnie *Poganka* Żmichowskiej, w Niemczech nowele Eichendorffa oraz Tiecka i E. T. A. Hoffmanna, nawiązujące do średniowiecznych legend o Górze Wenery, wskrzeszonych w *Tannhäuser* Wagnera; także w nowelistyce Nodiera i Mériméego pojawia się wampiryzm helleńskich demonów. Wydaje się jednak, że pominięcie tej, niechętniej kulturze greckiej, wersji tematu jest konsekwencją milczącego założenia pracy Marii Kalinowskiej. Traktuje ona romantyczną fascynację Grecją jako cenną wartość literatury XIX-wiecznej i o słuszności takiego poglądu potrafiła przekonać czytelnika.

Jako drugi sposób porządkowania materiału literackiego funkcjonuje w książce zestaw takich kategorii, jak hellenizm – pojęcie najszerze, sygnalizujące nawiązywanie do tradycji Grecji antycznej i upatrywanie w niej niekwestionowanego źródła kultury nowożytnej, oraz występujące prawie wyłącznie od czasów romantyzmu przeświadczenie o tożsamości starej i nowej Hellady; filhellenizm natomiast pojmowany jest w sposób bardziej ograniczony, jako gest uczuciowego zaangażowania po stronie greckich walk niepodległościowych oraz jako różnorodne formy ich wspierania; istotną rolę odgrywa wreszcie w romantycznych wyobrażeniach Grecji egzotyzm, zabarwiający wizerunki jej XIX-wiecznej współczesności kolorytem orientalnym.

Kategorie te pozwoliły zaproponować w zakończeniu książki maksymalnie zróżnicowany wewnętrznie opis greckiego mitu romantyzmu. W romantycznej geografii kultury Grecja stanowi, według autorki, pogranicze po nowemu widzianej strefy śródziemnomorskiej, średniowiecznej Północy i egzotycznego Wschodu, „krajem antyczną i orientalną, bliską i obcą, malowniczą i surową, znaną i tajemniczą” (s. 155).

Książka Marii Kalinowskiej w istotny sposób wzbogaca wiedzę o wizerunkach Hellady w romantycznej literaturze polskiej. Dwoista konstrukcja zaś pozwoliła na dokonanie szczegółowych, mikroanalitycznych ekskursów w świat wyobraźni polskich wielbicieli Grecji oraz na zarysowanie instrukttywnej panoramy ówczesnego hellenizmu europejskiego.

Maria Żmigrodzka

Bogdan Zakrzewski, *DWAJ WIESZCZE: MICKIEWICZ I WERNYHORA*. Wrocław 1996. Towarzystwo Przyjaciół Polonistyki Wrocławskiej, ss. 258, 2 nlb.

Książkę Bogdana Zakrzewskiego otwiera studium, które dało tytuł całemu tomowi, złożonemu łącznie z dziesięciu rozpraw, studiów i esejów (niekiedy mających już swój wcześniejszy bieg wydawniczy). Odzwierciedlają one zainteresowania badawcze

autora, skupiające się nad literaturą oraz kulturą romantyczną i XIX-wieczną, ich najróżniejszymi aspektami, z uwzględnieniem również – jednego z tak charakterystycznych dla tego badacza – wątku śląsko-wrocławskiego. Wymieńmy tu, tytułem informacji, w kolejności owe teksty składające się na omawianą książkę. Oprócz rozprawy tytułowej znalazły się w niej następujące prace: „Trzeba nam krzyża z gałęzią oliwną i pokojem Chrystusa”, Henryk Kamieński i Józefina Karska, „Paszport wolności” Juliusza Słowackiego, Wokół zagadki wydania „Do autora trzech Psalmów”, Lenartowiczowski mit o Racławicach, Heinrich Brockhaus u Mickiewicza, „Poezje” Norwida w edycji Brockhousa, Książd Wincenty Kraiński – lektor, wykładowca i arcygrafoman, O pracowni śląskiej Tadeusza Mikulskiego.

Wspólnym mianownikiem tych wszystkich rozważań, ich motywem przewodnim są, używając określenia Zakrzewskiego zawartego we wstępie *Od autora*, „sprawy prawdziwe”. Sprawy ludzkie, „sprawy prawdziwe” prawdziwych ludzi, zarówno tych wielkich, znanych z „pierwszych stron” historii literatury, jak i tych „małego lotu”, którzy znacznie obficie wypełniają tę ciągle nie napisaną historię literatury i kultury XIX-wiecznej, dotyczącą problemów, twórców i postaci mało znanych, nie znanych lub świadomie nie rozpoznawanych; żyjących niekiedy jedynie w erudycyjnej pamięci badaczy. Historia „wielkiej” literatury bowiem utkana jest swymi wzorami przecież na podstawie, dzięki której i w kontekście której osobowości te – jako właśnie wzory – są tym bardziej znaczące i wyraziste. Nie ma zatem kwestii bardziej lub mniej ważnych, są zaś jedynie zagadnienia znane, nie znane lub świadomie przemilczane, lepiej czy gorzej opracowane, a wszystkie oczekujące zawsze albo na podjęcie, albo też na swe dalsze uzupełnienie czy rozwinięcie. Książka Zakrzewskiego wszystkie te możliwości – choć w różnym stopniu i zakresie – realizuje, przynosząc częstokroć ustalenia i uwagi o kapitalnym, odkrywczym znaczeniu. Jest też pasjonującą – nie wyłącznie dla profesjonalistów (a to bardzo ważne!) – lekturą. Wynika to nie tylko z jej problematyki, ale i z warsztatu badawczo-pisarskiego autora, który w formie niezwykle zaciekawiającej i sugestywnej wprowadza czytelnika w tematykę niekiedy wręcz sensacyjną, a opracowywaną w sposób omal detektywistyczny w drodze wnikliwych i jakże skrupulatnych badań źródłowych, archiwalnych. A przecież ten olbrzymi ładunek wiedzy, erudycyjnej faktografii i dokumentarystyki nie odbija się ujemnie na walorach czytelniczych poszczególnych rozpraw i esejów. Zgoła odwrotnie, zwiększa jeszcze ich intelektualną i lekturową nośność. Ważny i cenny jest też wyraźnie zauważalny emocjonalny stosunek badacza do podejmowanych zagadnień, co bynajmniej nie kłóci się z zasadą dążenia do obiektywizmu. Podobnie godne podkreślenia są – nader inspirujące w swych przemysleniach – ożywcze „pomosty” kładzione przez Zakrzewskiego „między dawnymi i młodszymi laty”. Badana i opisywana bowiem przez niego przeszłość jakże często jest żywotna w naszej współczesności, choć odziana w kostium ostatnich dziesięcioleci wieku XX.

Literackie milczenie Mickiewicza po napisaniu *Pana Tadeusza*, pogłębione po powstaniu cyklu liryków lozańskich, mocno niepokoiło zarówno przyjaciół, jak i nieprzyjaciół poety, wywoływało liczne głosy i kontrowersyjne dyskusje. A nasiliły się one wraz z rosnącym „niepokojem o wieszczą”, gdy ten nie tylko że przedzierzgnął się z poety w profesora, ale zbliżywszy się wprawdzie do Andrzeja Towiańskiego, na czas jakiś uległ jego wpływom, później zaś, choć już spod nich wyzwolony, stawał się coraz bardziej filozofem, działaczem politycznym.

Co wywoływało ten niepokój, u kogo się on rodził i dlaczego? Apostazja Mickiewicza? Ale jaka? Religijno-narodowa? A może apostazja poety i wieszczą narodowego? A może człowieka i poety, który zdecydował się zejść ze sporządzonego mu za życia jeszcze cokołu, poety i człowieka, który nie mieścił się, bo nie chciał się mieścić, w martwej, zastygłej, a przez to nieprawdziwej bryle pomnika ufundowanego mu przez rówieśnych w ich określonych celach i zamysłach estetycznych, ale przede wszystkim ideowych?

Tych właśnie złożonych, a ciągle mało lub zgoła nie znanych kwestii dotyczy otwierająca książkę Zakrzewskiego obszerna i niesłychanie wnikliwa, inspirująca w swej warstwie intelektualnych przesłań rozprawa, intrygująca już samym swym tytułem –

Dwaj wieszcz: Mickiewicz i Wernyhora. Gdy u schyłku roku 1840 przybył do Paryża Andrzej Towiański i gdy później w dniu 27 IX 1841 w katedrze Notre-Dame w przemówieniu skierowanym do grupki polskich emigrantów — głównie politycznych — obwieszczał „zainstalowanie »Sprawy Bożej«”, nikt najprawdopodobniej nie przypuszczał, iż otwiera się nowy rozdział w dziejach polskiego romantyzmu emigracyjnego. Że otwiera się nowy period, który odcisnie swe niezbywalne piętno na kształcie ówczesnej literatury polskiej, na życiu wielu spośród tych, którzy po roku 1831 znaleźli się na „paryskim bruku”, a z czasem też w innych krajach Europy Zachodniej; okres, który pozostawi trwały rys na życiu całej polskiej emigracji, a którego silne reperkusje dadzą się odczuć i w Polsce. Świadczyć o tym może choćby pełne werwy polemicznej i jednoznacznie negatywne w swej wymowie oraz ocenie ogólnej, niekiedy ocierające się o ton pamfletowych sformułowań, hasło: *Towiański (Andrzej)*, autorstwa Franciszka Maksymiliana Sobieszczańskiego, zawarte w tomie 25 *Encyklopedii powszechnej* Samuela Orgelbranda w jej wydaniu z lat 1859—1868. Wytknięto tu „Mistrzowi Andrzejowi” i jego zwolennikom (także tym literackim) wszystkie grzechy, sformułowano szereg zarzutów. Oprócz jednego. Ale to zrozumiałe, jeśli spojrzeć na cenzorskie pieczętki tej edycji (są one albo w języku polskim, albo rosyjskim, ale zawsze należą do złej sławy Komitetu Cenzury w Warszawie). Nie pojawiło się ważne oskarżenie (przecie niezbezasadne) o carofilstwo „sekty”. Ciężki zarzut, z którym miał się zetknąć osobiście Mickiewicz. Ale o tym nieco dalej.

Towiański i jego „Sprawa Boża” w zasadniczy sposób skomplikowały i wręcz dramatycznie zawęziły bieg polskiego życia, literatury oraz kultury, i to nie tylko w wymiarze emigracyjnym. W centrum szczególnego zainteresowania, specyficznie się też objawiającego i realizującego, znaleźli się — choć w różnym stopniu i czasie związani z „Mistrzem” — wielcy i mali epoki, a wśród nich Mickiewicz, Goszczyński czy przybyły na Zachód w 1831 roku z otrzymanym we Wrocławiu „paszportem wolności” (o czym tak sugestywnie pisze Zakrzewski w innym miejscu) Juliusz Słowacki. Niezwykle głośnego i wielowymiarowego rezonansu nabrała właśnie „sprawa Mickiewicza” i jego „odszczepieństwa”.

Mickiewicz-apostata spotkał się z ostrymi atakami, początkowo jeszcze niekiedy przesłoniętymi elegancką formą i rzekomą życzliwością oraz troską o niego. Lecz dość rychło także z tych pozorów i „załagodeń” zrezygnowano. Krytykowano go wychodząc od przesłanek zarówno religijnych, jak i narodowo-patriotycznych. Towiańszczyzna nabrała bowiem nader szybko obu tych nacechowań, co rodziło niepokój i zarazem wrogość wobec niej wśród emigracji polskiej oraz krajowców. Zdecydowanie też coraz więcej było bardziej zagorzałych jej przeciwników niż zwolenników lub choćby zachowujących wstrzemięźliwość i obiektywne z pozoru zainteresowanie. Od poety, uosabiającego „sekcjarstwo” i kacerstwo, odsuwali się niegdysiejsi przyjaciele, którzy — jak np. Stefan Witwicki — przed ostatecznym rozerwaniem owych przyjacielskich więzów (ale czy były one — w świetle ich postępowania — rzeczywiście prawdziwe?) — stosowali spłyconą i zwulgaryzowaną „wallenrodyczną”, bo w zasadzie sprowadzającą się li tylko do dwulicowości, postawę wobec Mickiewicza, broniąc go w jego obecności, a za plecami ostro i bezpartodowo krytykując.

W tych atakach na „towianizm” poety, bo tak to tylko chciano widzieć, sięgano po cały arsenał — często jakże niewybrednych (łącznie z pomówieniami) — metod i środków. W ferworze polemiki religijno-narodowej, której wymiar polityczny stawał się coraz wyraźniejszy i ważniejszy, odwoływano się chętnie i do pamfletu. O takim właśnie anonimowym pamflecie, pt. *Do biesiad Mickiewicza. Dopiski*, który ukazał się 27 V 1845 na łamach brukselskiego „Orla Białego. Pisma wyłącznie poświęconego wyjarzmiającej się Polsce”, pisze Zakrzewski w swej arcybogatej materiałowo rozprawie. Przywołując w niej m.in. unikatowe rękopisy z Archiwum Zmartwychwstańców w Rzymie, wprowadza w wysoce skomplikowane, pokrzyżowane stosunki i często dramatycznie powikłaną atmosferę spraw polskiego życia emigracyjnego.

Anonimowy autor, którego Zakrzewski określa mianem „diaka” lub „Zacharyka”, zamieszczając dopiski do wybranych (i sparafrazowanych częściowo) not ze *Zdań i uwag* Mickiewicza, w celach polemicznych — politycznych (ale przecież nie tylko) — przeciwstawił sobie właśnie dwóch wieszczów: Mickiewicza i legendarnego Wernyhorę. Poetę-wieszczą, zwolennika politycznej orientacji prorosyjskiej, a Wernyhorę — wieszczą ludowego, który głosił sojusz polsko-ukraiński, skierowany przeciwko Rosji. *Nb.* problem ten interesował wówczas wielu literatów emigracyjnych, a „Orzeł Biały” informował również o carofilskich poglądach poety. Anonimowy „diak” wykorzystał postać i wieszczbę Wernyhory, aby wykazać zgubność towianizmu, a głównie przekonań i postaw samego Mickiewicza dla zagrożonej nimi — jak uważał (wraz z wielu innymi) — „sprawy polskiej”.

Natomiast w swym personalnym, imiennym ukierunkowaniu ataku miał pamflet podważać i zarazem odbierać Mickiewiczowi prymat duchowy, miano wieszca narodowego przyznane mu przez Polaków, a wprowadzić na opróżniony w ten sposób cokół wieszca autentycznego, prawdziwego i „sprawdzonego”, ludowego ze swego rodowodu i programu narodowo-niepodległościowego. Oskarżenie najcięższe, które Mickiewicza „zgubić miało” (by użyć tu określenia Słowackiego zastosowanego do własnych młodzieńczych tomów poezji), stanowiło wskazanie na jego „carofilstwo”. Dowody — przywoływane także w innych ówczesnych atakach na poetę — były rzekomo jaskrawe i nie do obalenia: miał „przyjaciół Moskali” (a więc „zdrada wieszca” ujawniła się już w III części *Dziadów*). Przypomniano też — z jakże dobrze udanym zaskoczeniem i oburzeniem — przedmowę do *Konrada Wallenroda* wydanego niegdyś w stolicy „imperium zła”, która to przedmowa niezbicie pokazywać miała, jak „łasi się” wieszcz Mickiewicz do cara. Zatem dowodów apostazji, zdrady narodowej było aż nadto.

Niestety, nikomu z tych atakujących poetę nie mógł być znany tajny raport niesławnej pamięci senatora Nikołaja Nowosilcowa, który donosił bezpośrednio po ukazaniu się powieści poetyckiej, iż utwór ten jest zgubny i niebezpieczny w swej wymowie dla imperialnej Rosji, gdyż m.in. wyraża „dążność do rozplomienienia gasnącego patriotyzmu” polskiego, pobudza do „marzenia o przyszłej niepodległości Polski”¹.

W jakże innym świetle raport ten stawia „sprawę Mickiewicza”, nadając, a nawet jakby „przywracając” — wbrew intencjom autora — prawdziwy, arcykowski i patriotyczny, jej wymiar. Jak te poufne informacje przerażonego „czynownika” rzutują na działania rzekomych obrońców sprawy narodowej i religijnej przed poetą-apostatą? Jak dobrze też widać — a świetnie to rozprawa Zakrzewskiego ukazuje — iż pojęcie „polskie piekło” ma też swą genezę w polskiej rzeczywistości polityczno-kulturalnej XIX wieku, że sięga znacznie odleglejszych czasów niż okres drugiej wojny światowej, gdy wysoce niepochebna, ale jakże prawdziwa, niestety, anegdota o owym „polskim piekle” pojawiła się w obiegu na „londyńskim bruku”, będąc zresztą podobno autorstwa angielskiego. Niestety, pamflet polityczny, doraźny interes grupowy czy partyjny nader często jest ślepy na prawdę, widzi jedynie to, co chce zobaczyć. To także — po raz kolejny: niestety — „sprawy prawdziwe”.

To, że wielcy twórcy znajdowali się w centrum różnorodnych polemik, najczęściej niesłychanie gwałtownych i zaciętych, a dyktowanych polityką, stanowi omal regułę. W kolejnej ze znajdujących się w omawianej książce rozprawie, noszącej tytuł: „Trzeba nam krzyża z galezią oliwną i pokojem Chrystusa”. *Dwugłos epistolarny: Józef Ignacy Kraszewski i Julian Feliński*, zawarte jest m.in. tego faktu wyczerpujące potwierdzenie.

Powszechnie znany i ceniony Kraszewski stał się z powodu swych poglądów politycznych, głównie zaś religijnych (włączył się m.in. w soborową dyskusję o nieomył-

¹ N. Nowosilcow, *Raport w sprawie „Konrada Wallenroda” z 10 kwietnia 1828 r.* Przełożył J. Tretiak. Cyt. za: W. Billip, *Mickiewicz w oczach współczesnych. Dzieje recepcji na ziemiach polskich w latach 1818–1830. Antologia.* Wrocław 1962, s. 206–211.

ności papieża, był też przeciwnikiem państwa kościelnego), obiektem licznych ataków i negatywnych wypowiedzi oraz osądów, a także pouczeń (m.in. ze strony udzielającego mu audiencji papieża). Zakrzewski, wykorzystując nie znane często czy mało znane materiały źródłowe, rekonstruuje i przedstawia jedną z takich toczących się wtedy polemik. Ów epistolarny spór między Kraszewskim a Felińskim, początkowo osobą prywatną, potem zmartwychwstańcem, który w późniejszej fazie życia wystąpił jednak ze zgromadzenia, zasługuje w pełni na miano dwugłosu. W odróżnieniu bowiem od Mickiewicza, a także odmiennie niż w innych sporach czy swarach, w które był lub bywał powieściopisarz uwikłany, w przypadku tej konkretnej polemiki miał prawo głosu, mógł – choć różnie z tego korzystał – argumentować i bronić swych racji. Co też ważne, ze strony Felińskiego były to specyficznie pojmowane i realizowane (przynajmniej od pewnego momentu) działania misyjne, uwzględniające osobowość, indywidualność i poglądy korespondencyjnego interlokutora, działania wyrażające się w listach, które spełniały właśnie w ten szczególny sposób rolę przesłań jakby misyjno-rekolekcyjnych. „Nawracający” Kraszewskiego Feliński reprezentując poglądy zmartwychwstańców nie był przecież jednostronny w wypowiedzaniu myśli. Rodziły się w nim też określone pytania, które ową polemikę obiektywizowały i ukazywały w innym świetle. Kraszewski wprawdzie nic o tych wątpliwościach nie wiedział, znał je natomiast ksiądz Jan Koźmian, którego Feliński prosząc o pomoc dla powieściopisarza – zarazem jakby uwiadamiał o swych powątpiewaniach. Zakończył się ten dwugłos epistolarny znamieniem. Obaj uczestnicy pozostali przy swoich poglądach, ale jednocześnie zachowali wzajemny szacunek dla siebie. Był to wszakże dwugłos!

W oparciu o częściowo tylko, niestety, zachowany materiał epistolograficzny otwarcza i tym samym ożywia Zakrzewski dzieje miłości (choć nie jest to bynajmniej jedyny cel stawiany sobie przez badacza) Henryka Kamińskiego, teoretyka „wojny ludowej” i jednego z ówczesnych – jakże licznych – świeckich patronów polskich spiskowców, oraz Józefiny Karskiej, przyszłej założycielki Zgromadzenia Sióstr Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny. Historia to prawdziwa, wręcz arcyromantyczna i typowo polska, zgoła jednak nie znana, dzisiaj istniejąca tylko „jednostronnie”, właśnie w listach Kamińskiego, a ponadto – pośrednio – w postrzępionych fragmentach korespondencji i relacji postronnych. Historia miłości tak, zdawałoby się, różnych osób, z których każda poszła własnym szlakiem (a przecież mimo to powiązał je ten szczególnie duchowy, romantyczno-polski węzeł), a których zyciorysy mogłyby służyć za model – jakże typowych – biografii wielu ówczesnych Polek i Polaków. Historia miłości ludzi, o których z liryzmem swą filologiczną opowieść zamykając, Zakrzewski pisze: „I jeśli istnieje sprawiedliwość niebieska (w jej ziemskim pojmowaniu), obie dusze – jak by powiedzieli ks. Kajsiewicz i ks. Semenenko – zmartwychwstały w swym zjednoczeniu z Bogiem” (s. 217).

Różne przemiany, jakie dokonały się w wyniku Rewolucji Francuskiej, zaowocowały – na polu sztuki – m.in. pojawieniem się mecenasa zbiorowego, czyli mieszczańskiego, oraz komercjalizacją. *Nb.* ważna też jest – choć przybierająca różne kształty i posilkująca się różnymi metodami – rola mecenas politycznego, czyli państwa, prowadzącego określoną i egzekwowaną (różnymi środkami, niekiedy wręcz drastycznymi) politykę kulturalną. Dzieło sztuki i twórca znaleźli się w głównym nurcie rozwijającego się kapitalizmu z jego ekonomicznymi regułami, które bezpowrotnie zmieniły panujące wcześniej w tym zakresie zasady. W przeszłość odchodził wizerunek w miarę niezależnego ekonomicznie twórcy, wiodącego „żywot pocziwy”. Sztuka i twórcy byli od tego czasu omal już bez wyjątku poddawani – w różnym stopniu i z różnymi efektami – presji ekonomiczno-politycznej. Szeroko rozumiana sztuka stała się mniej lub bardziej atrakcyjnym towarem, artyści zaś, bez względu na swą wolę, uwikłani w handel tym szczególnym towarem, ze wszystkimi tego faktu konsekwencjami. Z biegiem kolejnych dziesięcioleci XIX wieku uprawianie sztuki, literatury nabrało coraz wyraźniejszego zarobkowego charakteru, stawało się lub przynajmniej stawać się mogło

jednym z coraz ważniejszych źródeł utrzymania. I nie sposób tego faktu nie dostrzec czy przecenić znaczenie jego dalszego wpływu na rozwój, kształt i bieg życia artystycznego, literackiego. Często też okazywało się, że jakby prościej i łatwiej, oczywiście gdy miało się talent, było napisać czy stworzyć jakieś dzieło, niż je opublikować, upowszechnić, wprowadzić do obiegu czytelniczego. Te problemy nie dotyczyły głównie tych, którzy własnym sumptem mogli wydać swe utwory. W grupie tej znajdowali się nieliczni raczej, wybitni artyści pióra, jak np. Słowacki czy Krasiński, a także liczni zasobni, choć pozbawieni większego talentu poeci, niekiedy też będący wręcz przykładem jego braku – mniej lub bardziej płodni (choć najczęściej jednak płodni), żądni sławy literackiej, a więc i odważni, grafomani. *Nb.* kwestia grafomanów i grafomaństwa jest daleko bardziej złożona – także psychologicznie – niż tu wzmiankuje. Ich niekwestionowanym królem był „arcygrafoman” – tak go określa w znakomitym, wielowymiarowym w swych konstatacjach eseju z omawianego tomu Zakrzewski – ksiądz Wincenty Kraiński, lektor i wykładowca, pracujący na XIX-wiecznym Uniwersytecie Wrocławskim. Ale jednak, powiedzmy to od razu, trawestując nieco i tylko częściowo humorystycznie słynne słowa księcia Radziwiłła „Panie Kochanku”: „choć arcygrafoman, ale człowiek”, i to człowiek interesujący, ważny np. dla dziejów wrocławskiej slawistyki, mimo że opanowany romantyczną chorobą „poezjowania” przy równoczesnym całkowitym braku talentu. Człowiek nieszkodliwy w swej pasji, a może już lepiej powiedzieć: manii (autor m.in. własnej wierszowanej biografii liczącej stronic tylko... 584!), jakże barwny i ubarwiający uniwersyteckie mury; ważny też dla polskiego romantyzmu jako „spowiednik-inkwizytor” Mickiewicza, o czym pisze Zakrzewski w jednej z rozpraw pomieszczonych w jakże interesującej, odkrywczej i inspirującej wcześniejszej swej książce „*Spowiednicy Mickiewicza i Fredry* (Wrocław 1994).

Po tym ekskursie o wrocławskim arcygrafomanie powróćmy do poprzednich rozważań. O szeroko rozumianych problemach wydawniczych polskich romantyków traktują dwie rozprawy: *Heinrich Brockhaus u Mickiewicza* oraz „*Poezje Norwida w edycji Brockhause*”. Postacią zaś łączącą oba teksty jest wymieniony w ich tytułach słynny lipski księgarz i edytor, człowiek niezwykle zasłużony dla naszej literatury oraz kultury – jako wydawca wielu autorów, twórca m.in. monumentalnej serii „Biblioteka Pisarzy Polskich”. To właśnie z jego osobą i firmą wiązali swe plany, a niekiedy marzenia wydawnicze liczni polscy twórcy XIX-wieczni. Wydawnictwo Brockhause stało się z biegiem lat, w drugiej połowie wieku XIX, czołowym i głównym nakładcą literatury polskiej poza krajem. Tak jak w latach trzydziestych paryska drukarnia Pinarda tłoczyła polskie książki, m.in. pierwsze tomy poezji Słowackiego, na które złożyły się i te „szkaradne wiersze”, podnoszące wagę podróźnego „tłumoka do 46 funtów” (s. 138), gdy opuszczał poeta w początkach marca 1831 powstańczą Warszawę, by przez Wrocław i Drezno dotrzeć do Francji, tak z czasem funkcja ta – w daleko zresztą większej skali – przypadła domowi wydawniczemu Brockhause. Rzecz jasna, oprócz wszystkich innych względów nader ważny był tu również czynnik ekonomiczny, czego księgarz lipski nie krył i o czym niejednokrotnie mówił wprost, bo wszak te „polskie wydania” zarabiały na sobie, znajdując zbyt zarówno na Zachodzie, jak i w podzielonej przez zaborców Polsce.

25 XI 1840, a więc omal w przededniu pierwszego wykładu Mickiewicza w Collège de France, odbyło się w paryskim mieszkaniu poety jego spotkanie z Heinrichem Brockhausem, którego wydawnictwo opublikować miało w przyszłości „trzy siostrzyczki ubrane w jednakową, estetyczną i ładną szatę zewnętrzną” (cyt. na s. 192), czyli *Konrada Wallenroda* (Lipsk 1846), *Ballady i romanse* (Lipsk 1852) oraz *Farysa i Grażynę* (Lipsk 1852). Jednak w czasie omawianego przez Zakrzewskiego spotkania poety-profesora i lipskiego wydawcy ten pierwszy wystąpił w roli patrona Józefa Bohdana Zaleskiego i „napomykał” o możliwości druku jego poezji u Brockhause właśnie. Nie pierwszy to raz stawał się Mickiewicz rzecznikiem cudzych interesów autorskich oraz planów wydawniczych. I choć tym razem nie powiodły się jego starania – inaczej niż to było niegdyś

z „korektowanymi” osobiście poezjami umierającego przyjaciela, Stefana Garczyńskiego, to wszak warto zapamiętać ów epizod z biografii Mickiewicza. Poety, który sam niejednokrotnie musiał bądź borykać się z wydawcami własnych dzieł, bądź o nich zabiegać i układać się w sprawach edytorsko-finansowych (jak np. później — chociaż też bez skutku — z wrocławskim księgarzem Schletterem, o czym pisze Zakrzewski w innej, wcześniejszej swej książce, pt. *„Hajże na Soplicę!”* <Wrocław 1990>). „Krewkie refleksje” Mickiewicza — by użyć tu określenia badacza — odnoszące się do propozycji wydawniczej złożonej wcześniej Zaleskiemu przez Aleksandra Jełowickiego i Eustachego Januszkiewicza poświadczają, iż niezwykle dobrze znane były poecie zabiegi i utarczki z ówczesnymi wydawcami, stosowane przez nich kruczki, kulisy tamtoczesnego rynku wydawniczo-księgarskiego. Natomiast przytoczony w omawianej rozprawie fragment z dziennika Brockhausego opisujący jego wizytę u poety-profesora rzuca ciekawe światło na prywatność Mickiewicza, borykającego się wtedy (ale to przecież trwały rys sporego nader fragmentu biografii autora *Pana Tadeusza*) z problemami rodzinnymi, z chorobą żony, przygotowującego się do inauguracyjnego wykładu w atmosferze licznych i różnorodnych, mocno doskwierających trosk, rozdieranego pomiędzy obowiązki domowe a zawodowe.

Jak sugeruje Zakrzewski, spotkanie to zaowocowało jednak w przyszłości wydaniem *Ducha od stepu* Zaleskiego (Lipsk 1847) i *Marii* Malczewskiego (Lipsk 1848), których twórczość omawiał Mickiewicz już w trzecim wykładzie. I być może też pokłosiem owej rozmowy było wydanie w latach 1843–1845 4-tomowego niemieckiego przekładu *Literatury słowiańskiej*, ze wstępem Mickiewicza. W czasie bowiem owej wizyty u poety Brockhaus doradzał mu, aby zatroszczył się o dobre tłumaczenie dzieł własnych — „gdyż prawie nikt inny nie może tego zrobić dostatecznie dobrze” (cyt. na s. 194) — co Mickiewicz uczynił korzystając z pomocy przyjaciół.

Dругa z wymienionych wcześniej rozpraw Zakrzewskiego przybliży okoliczności związane z wydaniem tomu 21 „Biblioteki Pisarzy Polskich”, w którym ukazały się *Poezje* Cypriana Norwida. Było to „pierwsze wydanie zbiorowe” jego pism, jedyna tak obszerna edycja za życia poety. Norwid nawiązał — nie znając księgarza lipskiego ani też nie będąc mu przez nikogo znaczącego rekomendowany — kontakt listowy z Brockhausem, proponując wydanie tragedii *Krakus*. Był to ze strony poety omal odruch rozpaczny, gdyż trapiiony poważnymi — jak prawie zawsze przez całe swe pracowite życie — problemami finansowymi, gorączkowo poszukiwał jakiejś możliwości zarobku. Ku radośnemu zaskoczeniu Brockhaus, za pośrednictwem Erazma Łukasza Kaspröwicza, który będąc kierownikiem działu słowiańskiego zajmował się m.in. redagowaniem „Biblioteki Pisarzy Polskich”, przekazał Norwidowi propozycję wydania zebranych poezji w jednym z tomów tej znanej i znaczącej, prestiżowej „kolekcji”. Dla autora *Promethidiona* był to w zasadzie jedyny udany i tak ważny kontrakt wydawniczy. I mimo że honorarium było niskie, wręcz skromne, bo wynosiło zaledwie 500 franków, to przecież stanowiło swoiste wybawienie. Wydanie własnych utworów w tak poważnej firmie księgarskiej z jednej strony dostarczało poecie dużej satysfakcji literackiej (choć przygotowywał tę edycję w pośpiechu i stąd pewne niestaranności: m.in. w doborze tekstów i w koncepcji ich układu), a z drugiej — i może było to w tym momencie jeszcze ważniejsze — dawało się dzięki temu „przynajmniej część długów przed Nowym Rokiem” (s. 206), czyli do końca grudnia 1862, spłacić wraz z należnymi procentami. Towarzyszyła temu radość tym większa, że Brockhaus, wbrew panującym w jego wydawnictwie zasadom, wypłacił poecie, na jego listowną, dyktowaną desperacją prośbę, honorarium jeszcze przed ukazaniem się na półkach księgarskich owego tomu. *Nb.* jakże rozpaczliwa musiała być sytuacja Norwida, która przymuszała go do tak „niekonwencjonalnej” prośby. I z tych też powodów Brockhaus pozostał we wdzięcznej pamięci autora *Vade-mecum*, który nawet po latach, nawiązując do tych wydarzeń z roku 1862, wspominał mile w swej korespondencji lipskiego wydawcę.

Symptomatyczne jest i to, że powracał wtedy też Norwid do swego honorarium, utyskując nad jego skromnością i przeciwstawiając je honorarium Victora Hugo, któ-

remu — jak pisał — „Płacą za to 80 000 lub 100 000, za co mnie cudzoziemiec księgarz (bo Polak nigdy by nie zapłacił tego) płaci pięćset franków” (s. 211). Nie był to zaś ze strony poety dowód megalomanii, lecz refleksja związana z konstatacją Rogera Raczynskiego, porównującego niektóre z pism Norwida właśnie do utworów Hugo. Odsłania tu poeta finansowe kulisy ówczesnego życia literackiego. Sądzę, że warto by się tymi zagadnieniami bliżej zająć. Rzecz jasna, wymagałyby one odrębnych, inaczej ukierunkowanych badań, które sięgnęłyby do źródeł i penetrowałyby księgarskie archiwa, ich — by użyć dzisiejszego określenia — działy księgowości. Wolno przypuszczać, że podjęcie takiego trudu przyniosłoby owoce, gdyż w jego wyniku stałyby się daleko wyraźniejsze i jaśniejsze także i te „sprawy ludzkie” — tamtoczesnych literatów oraz literatury i kultury. Należałoby ustalić i ukazać kulisy finansowe owych różnych inicjatyw wydawniczych, serii i pojedynczych tomów. Można by wtedy dość klarownie zobaczyć to — wspomniane już przeze mnie — zjawisko komercjalizacji XIX-wiecznego rynku sztuki. Archiwa wydawnictw (te ocalałe, choć niekiedy świadomie niepełne czy „podatkowo retuszowane”) dostarczyłyby często unikatowych materiałów związanych z życiem literackim i biografią niejednego twórcy. Ukazałyby ich drugą, niepodręcznikową stronę. Że tak nie tylko może być, ale że tak jest, pokazują cząstkowe, wybiórcze — bo problemowe inaczej ukierunkowane — badania i ustalenia Zakrzewskiego, uwzględniające m.in. ów zakres, odzwierciedlające się w rozprawach pomieszczonych w omawianym tomie, a także i w innych, wcześniejszych pracach autora.

Ten „napomykający” w rozmowie z Brockhausem o wydaniu poezji Zaleskiego Mickiewicz, ten radośnie podekscytowany Norwid, piszący w liście do Joanny Kuczyńskiej: „z kart onych sprzedanych manuskryptów [...] lepię sobie *atelier*, żeby długo i długo nic nie pisać ani czytać (ale literalnie że mieszkać będę w DZIELE MOIM)” (cyt. na s. 202) — to właśnie „sprawy prawdziwe” literatury, choć jakże ciągle mało znane, niekiedy zaś wręcz wstydliwie przemilczane. A przecież — jak pisał Norwid w liście z 15 V 1870 skierowanym do Bronisława Zaleskiego, nawiązując ponownie do kontaktu wydawniczego z Brockhausem i panującego tam zwyczaju wypłacania honorarium — „nie może on płacić autorom tylko dnia i godziny naznaczonej. Ten dzień i ta godzina, że nie były i nie mogły być zgodne z moim zegarem, napisałem raz do niego, iż niepodobna być razem emigrantem i porządnym człowiekiem i że czekać przyzwyczaję nie potrafię” (cyt. na s. 206). Jak wiemy, list ten spotkał się z zycziwą postawą wydawcy, który wszak „warunków smętnych znać ma obowiązek”, i Norwid nie musiał już dłużej czekać. Uderza w przywołanym fragmencie owo przeciwstawienie żywota emigranta byciu „porządnym człowiekiem”. Ta wykluczająca się według poety antynomia przebiega oczywiście nie w sferze etycznej, moralnej, lecz na płaszczyźnie ówczesnego (ale nie tylko) obyczaju, obiegowego konwenansu towarzyskiego, każącego sprawy finansowe pomijać milczeniem lub też wobec nich zachowywać powściągliwość angielskiego dżentelmena. Norwidowska opozycja oddaje w metaforyczny sposób nie tylko dylematy i dramatycznie pokrzyżowane problemy biografii samego poety. Dotyczyć również ona może i wiązać się z wieloma innymi twórcami (wielkimi i małymi), których udziałem był trudny, złożony i doskwierający żywot emigrantów na „europejskich brukach” lub też którzy pozostając w kraju i oddając się pracy literackiej wiedli równie wyboiste życie, borykając się z Norwidowską antynomią.

Można by się przy tej okazji nieco zadumać nad — jakże chętnie w niektórych kręgach używaną (nie tylko zresztą przez artystów) — eufemiczną, i kto wie, czy nie dlatego tak funkcjonalną, nazwą: „honorarium”, która miała jakby oddzielać od pewnych ludzkich przedsięwzięć i inicjatyw (podobnie płaskie i utylitarnie codzienne) określenia: „pieniądze”, „zapłata”, „wynagrodzenie pieniężne”, „pensja”, a więc działalność np. twórczą, za którą otrzymuje się honorarium (zgodnie z etymologią słowa: „zaszczytny dar”), od zwykłej, płaczonej „z listy” pracy. A przecież dla Norwida — i według niego słusznie — było to jednią, pozwalającą po prostu i aż „mieszkać w DZIELE” swoim. Literalnie.

Związana z życiem polskiej emigracji, a także – najogólniej – ówczesną problematyką wydawniczą, choć w odmiennym od wyżej omawianego aspekcie, jest rozprawa Zakrzewskiego podejmująca zagadnienie sygnalizowane wyraźnie jej tytułem: *Wokół zagadki wydania „Do autora trzech Psalmów”*. Tutaj na plan pierwszy wysuwa się strona polityczna i etyczna tajemniczego, bez woli Słowackiego, opublikowania w Lipsku w roku 1848 jego utworu. Wydarzenia swego czasu niezwykle głośnego, rozgrywającego się w atmosferze sensacji towarzyszącej wydaniu swoistego ówczesnego bestsellera politycznego, związanego z toczącymi się sporami ideowymi emigracji polskiej. I mimo że publikacja ta była anonimowa, to wszak większość zainteresowanych wiedziała, kto jest autorem. Daleko trudniej było dociec natomiast, kto ów tekst przekazał do druku. Zakrzewski nie rozstrzyga tej kwestii jednoznacznie. Wyklucza tylko zdecydowanie działanie Edmunda Chojeckiego jako głównego inspiratora całej sprawy i wskazuje na Ryszarda Berwińskiego. Warto zauważyć, że chociaż od powstania tej pracy minęło sporo czasu, to jednak nie zdezaktualizowała się ona, a kwestie w niej podjęte i postawione nadal oczekują na swe rozwiązanie, na swego historyka literatury, który je rozwikła, wyjaśniając jedną z niezliczonych zagadek, jakie niesie zawsze ze sobą życie literackie, kulturalne – bez względu na czas i miejsce.

Dzisiaj już większości Polaków jest bardzo dobrze znana *Panorama raclawicka*, która po przebyciu skomplikowanej drogi pełnej politycznych wybojów, przed znowu nie tak wielu laty znalazła, obok innych licznych „lwowian”, wreszcie swe stałe miejsce we Wrocławiu. Znany i oglądany, dawniej we Lwowie, a dzisiaj we Wrocławiu, obraz Wojciecha Kossaka i Jana Styki nie bywa kojarzony z literackim pierwowzorem, dającym „panoramę” tego zdarzenia, z poematem Teofila Lenartowicza *Bitwa raclawicka*, ukończonym w roku 1858. Poematem mającym wiele polskich i zagranicznych wydań oraz – swego czasu – szereg wariantowych ujęć, wprowadzanych ręką autora, ale jeszcze częściej przez wydawców ze względów cenzuralnych, aby „zretusować” zbyt jawne czy jaskrawe treści i przesłania patriotyczne. Utwór ten, jak wskazuje Zakrzewski, stał się tekstem inicjującym i inspirującym zarazem legendę bitwy raclawickiej, jej „ludowo” postrzegany i interpretowany przebieg, wymiar oraz znaczenie batalistyczne. Autor w swej rozprawie poddaje wnikliwemu oglądowi analitycznemu tekst Lenartowiczowskiego poematu w jego paryskim wydaniu z 1859 roku. Szczególnie wydobywane są te rysy, ujęcia i poetyckie realizacje, które odwołując się do pomysłów archetypicznych czy – z reguły – „ludowopodobnych” budują ów specyficzny obraz raclawickiej batalii, specyficzny w swym ikonoczno-faktograficznym przekazie, jak i w warstwie przesłań ideowych. Niezwykle ważnym wątkiem rozważań Zakrzewskiego jest – sygnalizowana już przeze mnie – kwestia inspirujących związków liryczno-epickiego poematu Lenartowicza z daleko głośniejszą, inną też w formie, bo malarską opowieścią o zwycięskiej ludowej bitwie pod Raclawicami. Badacz wskazuje na Kossaków, ojca: Juliusza, i syna: Wojciecha, jako spadkobierców estetyczno-ideowych Lenartowicza i stworzonego przezeń mitu. Pierwszy z nich zresztą był autorem dwóch rycin mających ilustrować poemat wydany przez „Macierz Polską” w 1890 roku we Lwowie. W obszernym *Postscriptum*, jakim opatrzył Zakrzewski omawianą rozprawę, pojawia się szereg cennych dowodów poświadczających owe konseksje utworu literackiego i obrazu czy lepiej: panoramy. *Nb.* zainteresowania związkami literatury z malarstwem nie są w badaniach Zakrzewskiego niczym nowym – swego czasu np. podejmował on zagadnienie inspirujących wpływów malarstwa Józefa Brandta na Sienkiewicza². Nawet na podstawie tych kilku przywołanych prac widać potrzebę postulowania szeroko zakrojonych badań w tym kierunku, które w odniesieniu do literatury XIX-wiecznej (z racji m.in. pojawiających się w niej postulatów synkretyzmu) mogą być szczególnie płodne i instruktywne.

² B. Zakrzewski, *Sienkiewicz i Brandt*. „Sprawozdania Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk” 1948, nr 1.

Przedstawione tu omówienie książki Bogdana Zakrzewskiego *Dwaj wieszcz: Mickiewicz i Wernyhora*, jak też formułowane przy tej okazji uwagi, wnioski czy postulaty mają charakter niepełny i wybiórczy. Problematyki bowiem składających się na nią prac nie sposób zamknąć czy choćby tylko sygnałnie poruszyć nawet w znacznie obszerniejszej wypowiedzi recenzyjnej. Zresztą nie taki cel przyświecał piszącemu te słowa. Zasadniczym i bezspornym walorem omawianej książki jest to, iż zmusza ona wręcz (ale nie przymusza bynajmniej) do aktywnej i pogłębionej refleksji zarówno w trakcie, jak i po lekturze. A także i do stwierdzenia, jak ciągle mało wiemy na temat romantyzmu, literatury i życia literackiego wieku XIX. Jak bardzo potrzebne są badania i publikacje tego typu. Jak wiele i jak ciekawie powiedzieć można o pogmatwanych, a zarazem jakże istotnych „sprawach prawdziwych” ludzi i literatury (i to nie tylko czasu przeszłego). Jak wiele z przeszłości istnieje w teraźniejszości.

Marian Ursel

Dariusz Seweryn, *O WYOBRAŹNI LIRYCZNEJ ADAMA MICKIEWICZA*. Warszawa 1996. Wydawnictwo Instytutu Badań Literackich PAN, ss. 134. (Indeks opracowali: Marek Gumkowski, Agnieszka Pliszkiwicz). „Rozprawy Literackie”. [T.] 74. Komitet redakcyjny: Michał Głowiński (przewodniczący), Marek Gumkowski (sekretarz), Janina Abramowska, Alina Kowalczykowa, Aleksandra Okopień-Sławińska. Z prac Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Polska Akademia Nauk — Komitet Nauk o Literaturze Polskiej.

Dariusz Seweryn jest uważnym czytelnikiem, badaczem znaczeń, który wychodzi od rzetelnej analizy filologicznej, pomagającej w interpretacji, w głębszym poznaniu i odkryciu tekstu literackiego. W książce autor przywołuje rozważania Paula Ricoeura: „Co w rzeczywistości jest przedmiotem rozumienia — a także przyswojenia — w tekście? Nie chodzi tu o intencję autora, która miałaby się ukrywać za tekstem, nie chodzi także o sytuację historyczną wspólną dla autora i współczesnych mu czytelników ani o oczekiwania czy doznania tych czytelników, ani nawet o ich rozumienie siebie jako o zjawisko historyczne i kulturowe. Tym, co ma zostać przyswojone, jest znaczenie samego tekstu, rozumiane w sposób dynamiczny jako ukierunkowanie myśli otwarte przez ten tekst [...]” (cyt. na s. 7–8).

Dla badacza istotne są struktury mowy poetyckiej, konwencje stylistyczne, tematyczne i gatunkowe. Ważny bowiem dla rozumienia i interpretacji tekstu jest — podkreślany przez Ricoeura — aspekt „bycia w świecie tradycji literackiej” (s. 12). Przedmiotem dociekań są nieprzypadkowo wybrane utwory, ułożone w określonej kolejności. Interpretacja zbliża do poznania i charakterystyki wyobraźni lirycznej Mickiewicza „w jej wielostronnym działaniu”, wyobraźni w znaczeniu hermeneutycznym. Pojęcie to wiąże się z pisarstwem Gastona Bachelarda. Chodzi więc o wyobraźnię egzystencjalną, która obejmuje sposoby widzenia przez poetę rzeczywistego świata, a także postrzegania w tej perspektywie własnej świadomości. Nie jest to zwykła zdolność tworzenia obrazów czy fantazjowania, łączy się bowiem ściśle — co podkreślał także Bachelard — z narodzinami słowa. Poezja stanowi „źródło obrazowej obiektywizacji świadomości wypowiadającego się podmiotu” (s. 16). Dzieło, jak twierdził Ricoeur, ujawnia propozycję świata. Wyobraźnia tak pojmowana jest narzędziem odkrycia i poznania rzeczywistości, a także siebie, jest aktywnością twórczą. Przed jakimi zadaniami staje więc interpretator? Co to znaczy pokazać wyobraźnię liryczną poety? Seweryn zgodnie z przyjętą teorią objaśnia wybierane świadomie przez Mickiewicza obrazy, przedmioty itd. Wychodzi od immanentnej analizy utworu, bada powtarzające się motywy, ich ewolucję i przeobrażenia, zmierzając do charakterystyki podmiotu mówiącego (instancji nadawczych).

Wprowadzenie do książki, pt. *Rzeczywistość wyobraźni*, jest przeprawą przez hermetyczny język hermeneutyczny, jednakże na potrzeby pracy pewne założenia metodolo-